Maryla Wolska

„Thème varié"

Rkps. zbiorku poetyckiego

przed 1901

Thème varié

plik str od 1–48, brak str 39

Szukam słów srebrnych i jasnych, jak pył blasku od gwiazd bożych mżący...

Szukam słów nieuchwytnych jak woń — i jak błyskawice ciche w ciemności gasnących...

Szukam ich, bo wiem, że tamtych wymówić mi niewolno nigdy, ani wśród nocy głuchej, ani po dniu jasnym.

Słyszę je lecące z brzękiem, jak rój pszczół srebrnych, jak mglisty miraż w przestrzeni zbłąkany — ale są jeszcze wysoko.

O krążące [illegible] myśli, które jak gwiazdy spadające odrywają się od stropu duszy mojej i gasną — oświecać jej migotem swoim bladym nie śmiejąc!

O błędny roju słów które przystanku nie znajdą nigdy,

O srebrny roju słów!

Senne wizje

Uciekam przed tobą — a zewsząd widmo twej postaci wychodzi mi na przeciw...

Jesień, znowu jesień!
Zbudź się duszo moja! Już dni twoje żałosne, idą senne, pełne cierpkiego zapachu umierających liści, w przedśmiertnej łunie ogrodów skąpane, co krasę swoją, ognistą krasę swojej młodości, deszczem złotych i krwawych strzępów na drżącą ziemię kładą...
Zbudź się i na sarkofagi przepaści swoich, na samobójcze mogiły swoich zastygłych myśli, rzuć jak co roku garść złotem szeleszczących nieśmiertelników, garść pieśni przesiąkłych płaczem i proś Boga duszo moja aby te śpiące od lat myśli i przypomnienia twoje — nie wstały więcej.
Niechaj im światłość wiekuista wspomnienia tego świeci, co oto dziś znowu na fali dzikich jesiennych zapachów przychodzi do ciebie! —

Światłość — i cisza. —

Jesień! Mgły się nad ziemią wloką, ciężkie, senne i światła w nich żałośnie migocą. —
Oto i ja palę światło, w tęsknej mojej duszy przeczyste, drżące światło we mgłach jesiennych rozpalam — i pomijam...
Uciekam przed tobą a zewsząd widmo twej postaci wychodzi mi na przeciw — — ✕

Stulistna róża mego serca padła ci pod stopy i przeszedł po niej cień twój — nie wiedząc, że dusza moja wyszła z niej ślicznie ku tobie — różanej woni pełna.

Stulistna róża mego serca, w pył i proch się rozpadnie — ale woń, co się westchnieniem bolesnem z kielicha jej podnosi, obłokiem wiecznie po szlaku owiewa twoje złoto — aby przez życie i wieczność — iść odtąd za tobą — za tobą...

I jeśli będzie w tobie cisza i jasność —

I jeśli będzie w tobie moc — a słodycz, z niej ci to przyjdzie, z tej woni..!

Na szlak niedościgłych korowody cieni jednią się złotą, i pieśń dziwna z głębi jesiennego wichru i szumu szumiących lasów złożona leci nad ziemią.

Dźwięk jej mocny i straszliwie pieśniany targa mi serce — i czuję, że dłużej jej słuchać — nie zdołam.

Jednej szepty lecą do mnie wśród świetlistych drzew, jednej wołania .. Gdzie odwracam głowy za nie-mi, wiem, że nie ty powracasz, nie ty mnie wołasz jeno zima idzie długa — a cisza. —

O ty głosie rozwiany w mrokach przeszłości; ty smutny głosie coś mi dźwięczał na nutę kochania i wiosny! Gdzie jesteś?! Gdzie do mnie ty wo-

Uciekam przed tobą — a jednak wszak znów muszę i wiem, że nad tę twoją smutną, zmęczoną twarz — nic milszego nie ma dla mnie na świecie!

Oto te twoje oczy jest od blasku wielkiego zmrużone, oto te twoje usta, które nigdy — nigdy...

Jest bowiem w twojej urodzie, jakiś słodki powab jesieni naszej, jakieś zadumanie naszych łąk...

Jest na twoich włosach słoneczny połysk naszych żytnich pól, pajęczyną srebrną osnutych.

I jest w twojej duszy cały wielki, pierwotny smutek naszej ziemi, cała jej ogromna, tragiczna piękność — i ból.

Więc patrzę na ciebie jak na jakiś świat boży, co oto przed oczyma memi odkryła i wiem, że prócz mnie — nikt tak nie patrzy na ciebie i jest mi gorzko — i jasno zarazem. —

To, co w tobie najgłębsze i najpiękniejsze, co w tobie naprawdę boże i wielkie, to nie światu, jeno duszy mojej świeci, nie ludziom, jeno tej jednej duszy ludzkiej, co oto bezwolna, jak dziecię urodziwe żądliwy, wzniosły i wierny, w świat mgli idzie — za tobą...

cisz, nie mnie zazdrość — jemu zima przyjdzie długa — a ciężka!

Słyszy już jej chodzi szybciej, chrzęst wrzosów deptanych jej stopą i jęk umierających kwiatów słyszy, przeciągły — rozpaczny... Czuje, że jest już blisko...

Oddech jej mroźny, co z wichrem leci motyle zabija ostatnie, na młaki z powietrza je strąca i ciska, bo zwiędłych liści podobne na zmartwiałą ziemię rzuca. Na dworze — będzie już przed progiem...

O mara, mara młodości mojej! To ty, zawsze ty!... Pełna o przeszłości; na twarz twoją — i płacz jeśliś gdybym usłyszał rodzinną moją pieśnią...

„Twój czar nadziemny trwa..."

Wyczerpuję mi oczy słowa własne, jak kwiaty rzucone na falę i jak fale kwiaty, tak mi te słowa moje — echo z powrotem odnosi — niesłuchane, — jak kwiaty z fali przez ciebie nie zdjęte...

O cieniu ty marny, nieodgadniony cieniu!

Prelud

Nie mówiliśmy nigdy o tem ale ty wiesz o wszystkiem...

Wszak wiesz, że ci się dusza moja w prochu, przed stopy rzuca, z jękiem w niebo lecącej pieśni, której nikt nie rozumie, ani słucha — prócz ciebie...

Jak złotą lampę przed obrazem, tak rozpaliła serce moje ten rubinowy płomieniem dźwięcznej pamięci mojej przed widmem twej postaci...

Płonie i drży to dziwne światło i rzuca się czerwienią refleksów na blade kwiaty rosnące w ciszy jesiennych wieczorów — gwiaździste kwiaty astrów — pieśni...

Nie ma cię może wcale na świecie ale są moje pieśni — o tobie.

Nie zjawisz mi się nigdy, ale ja czekam na ciebie, jak na pewną — i nieuchronną — Śmierć...

Nie wiesz o mnie — a nie opuszczasz mnie jednak i snuje zapach jesiennych kwiatów wlokący się za tobą jak welon i wciąż to wiąże mnie z życiem

Nigdy wiosenne kwiaty nie pachną tak mocno, tak boleśnie — jak te październikowe — ostatnie.

Nie wiem czy jesteś dźwiękiem, czy zapachem, czy duszą ludzką, — dość, że jesteś czemuś na wskroś czystem i dalekiem, czego nikt nie posiada wobec ani ja nawet — dość ja tylko wiem o tobie i — czekam cię.

Głos twój — czy westchnienie słyszę w drzewie zwię=dłych liści i boję się stąpać po nich...
Zdaje mi się być czemś żyjącem, jakimś znakiem pamięci — obecności twojej.
Te złote uschłe liście to słowa, którychś nigdy usta twoje nie wyrzekły do mnie a które mam usłyszeć kiedyś — później. —

O serce moje! — Ty dumne serce, co kwitniesz jak blada orchidea w powietrznych krajach swych marzeń! Tak samo jak one żywisz się widokiem ziemi, której nie tykasz i kwitniesz, soków z niej w liście nie biorąc...
Wiem, że Bóg myślał o tobie kiedy mnie stworzył wiem, że cię gdzieś nazwał nawet. Imię to było ognistemi głoskami w mojem sercu — a gdzieś, ktoś — wymazał z tętnicą to imię którego już — przypomnieć sobie nie śmiem. — —

O lilie, białe lilie wodne, jakżeście wy do marzeń moich podobne!
Stopy wasze jak moje grzęzną w innym świe=cie od tego, w którym dążą myśli moje, kwiaty wasze!
Muzyka ta jest dla was muzyką wspomnień moich, co was na cichą, słodką śmierć kołysze, a mnie śpiewa jakąś posępną balladę pełną

księżycowego blasku i zapachu fiołków.

Wiem ci, czy jesteś – to dla mnie jedno!
Przeczuwam cię – i żyję tobą – to mi wystarcza.
Przeczucie wieczności wyjaśnia nadziemne zwierciadło swoje błękitne i sypie mi gwiazdy w duszę.
Ja ich nie podnoszę. Wiem, że kiedyś, później będę ich mieć więcej niż wszelkiego pyłu na skabiozach górskiej łąki i wszystkie te gwiazdy lecące do mnie – tobie podaruję.

Gdyby cień twój był rzeczywistością, życie moje szłoby inaczej. Jesteś jednak wiewem, snem marą, zapachem, brzmieniem, tem czego ująć nie można, ani swojem nazwać i dla tego sypie się na mnie popiół idących lat i przysypie mnie wreszcie – zupełnie.
Od mojego popiołu stanie kiedyś myśl twoja i szepnie ci –:

Swoboda!

Z kolędą

Tam daleko — świeci słońce i wielkie kwiaty kwitną.
Tam daleko — szafirowe jezioro leży u twoich stóp i nigdy nie więdnące bluszcze do okien ci patrzą.
I pachną róże...

A tu — śnieg pada i ściele się na pole jak biały, srebrem tkany obrus, świat — do mistycznej jakiejś wigilii sposobiąc..
A tu śnieg pada i przeźroczystym swoim puchem zasnuwa świerki — i krzepnie.
Czy tęsknisz ty, na Boga, o duszo? —

Widzę: jasny pokój, pełen zapachu żywicy i jodeł. Zielone drzewko w mnogości światełek stojące i kolęda dziecinnych głosów...

O gdyby teraz można, gdyby można, ujrzeć się tu nagle, na tle najbliższej rodziny! Gdyby się można w ten wieczór tajemniczy, cudowny ujrzeć na chwilę i płakać potem długo — po cichutku — po cichu — na zawsze!

Noc mroźna, grudniowa, pełna migotu iskierek w powietrzu.. Na niebie czystem księżyc.
Szeroka, biała droga pośród lasu.
Olbrzymie świerki stoją w zawałach śniegu, jakiejś drużynie posągów białych podobne, z ramiony pod ciężarem puszystych płatów zwis-

tami, niby rzeźby pierwotne jakichś bożyszcz leśnych, w ciszy tej srebrnej nocy stojące. Stoją tajemnicze, w lodowatych promieniach śniegu, w brylantach koron swoich zadumane — ogromne.

Drogę iskrami mroźnych pyłów usianą, w świat, za oczy gdzieś wiedzie.

Drogę, którą nigdy nie szłaś do mnie,
Drogę, którą nigdy nie przyjdziesz — o baśnio!

A na niebie, przyćmiona błękitną łuną drżącą iskrzy się gwiazda biała, igłami promyków świecąca — ta sama co wtedy dawno —, — ta sama . . .

Za promieniem tej gwiazdy królewskiej, wstęgą drogi białej i lśniącej, w nawę zamarzłego lasu — szczęściu memu wychodzę oto na przeciw!

Cisza — czasem tylko gdzieś coś nagle jak iskra na śniegu gasnąca, czasem zadrży coś i cicho — jakby się te drzewa leśne, w pośrodku uroczystej nocy stojące, białymi opłatkami między sobą łamały.

Prędzej mi na tym śnieżnym całunie złota paproć najkrótszej nocy zakwitnie, prędzej ta gwiazda mistyczna ogromnym brylantem przed stopy moje upadnie, — prędzej się Dziecię ludzkie, miłościwą uśmiechnie do mnie twarzą niż ty mi się spełnisz — o bajko!

Bajka, wszystko bajka . . .

A las stoi cichy, zastudzony w zaświatowe jakieś kolędy i tylko się pyły mroźne polą na śniegach – i tylko księżyc płynie po niebie – jasny, biały, do Hostyi tajemniczej podobny...

A jednak płacze mi dusza na głos a jednak ze tym najbielszym snem mego życia ręce wyciągam – i wołam go i czekam – daremnie! –
Bo jednak nie wszystko jest bajką – –

A noc taka kryształowa, taka jasna, że mogłyby się dziać cuda tej nocy..
W takie wielkie święto, jakieś wielkie szczęście...
Szczęście czyste jak te śniegi i jak te szrony chłodne, krótkie, smutne szczęście przelotnej godziny; takiej godziny, którą się żyje lata całe, z której się czerpie siłę i blask – i los – i ukojenie..
Wielkie, opłakane, beznadziejne szczęście!

A nad ziemią jest noc błękitna, po domach jarzą się blaskiem choiny, niskie sufity dworów drżą echem kolęd a ściany chat najbiedniejszych rozszerzać się zdają weselem. –

Tą białą, gronostajową śniegów wysłaną drogą, przyjść możesz do mnie tej nocy,
Każdej godziny się zjawić – a z tobą całe rozśpiewane niebo, otworzyć mi się może na ścieżaj!..
Każdej godziny a z tobą cała moc duszy mojej, cała jej treść przedziwna!

A więc cię wzywam, całą tą mocą, całym wysiłkiem myśli, całą tęsknotą niewybuchniętych płaczów,
A więc cię wzywam ogromnym akordem zamilkłych pieśni, srebrną melancholią mroźnej, grudniowej nocy i szeregiem słów tych cię wzywam!..
— Przybywaj!

I poleciał krzyk mojej myśli drąc się na skamieniałych koronkach szronu, na stalaktytach lodu się łamiąc w kryształową otchłań przestrzeni — i przepadł gdzieś — o gwiazdy może rozbity.

O takiej godzinie niegdyś — śpiewał chór opiewców niebieskich, słodką, rozśpiewaną kolędę,
O takiej godzinie teraz, wielka cisza na niebie, wielki chłód i pustka, tylko mroczne myśli ludzkie obłąkanym nietoperzom podobne, szumią sobie skrzydła — o gwiazdy.
O nocy tajemnicza, o milcząca nocy!..

Rondo capriccioso

Z trzepotem złotych skrzydeł, usiadła na pniu zwalonej burzą jodły, którą pleśnie blade powlokły, siecią oplotły ożyny i paprocie jasnopióre obrosły.

Cicha, wonna noc majowa.—

Zpoza drzew prześwieca księżyc duży, jakby o cienkie szpilki sosnowych gałęzi zaczepiony i jasną swoją, pogodną twarz zwraca ku niej i patrzy na nią taką śliczną i rozbawioną, nieświadomą, że to jego spojrzenie właśnie nieci światełka na tyle barwnych jej skrzydeł i w oczach mieniące iskierki rozpala.

*

Ach! jaka ty jesteś śliczna, ty leśna, konwalią pachnąca duszyczko! Patrzę w twoją twarz drobną i białą, w pustoty pełen uśmiech i napatrzeć ci się niemogę!

Tańczmy dalej!—

Kwitnące konwalie dzwonią z lekka, majowa ruń polany miękkim kobiercem pod stopki się twoje ściele, serce moje takt poda muzyce...

Daj mi rękę, ty śliczna, ty lotna, ty wonna!—

*

Gdzie chcesz?.. Czemu twarz twoja zbladła nagle jak płatek śnieżnej czeremchy?.. Nie bój się mnie... Toż to tylko fantazja moja tańczy z tobą w tę jasną, majową noc! Oddech mój nie owionie kwiatowej twojej twarzy ani cię muśnie dłonie moje gorące... Wierz mi! To tylko myśl moja idzie w ślad bosych twoich stopek... Nie bój się!...

To on!. Widzę go. To król elfów.
Tak. On jest piękniejszy od mojej fantazji nawet. Ten blady, smutny, król duchów leśnych, w którego twarzy toną oczy twoje, ciemne, urzeczone, do stawów tatrzańskich podobne.
Jest piękny jak bajka, jak pieśń, jak ta noc majowa księżycem pełnym srebrna.
I czemuż jest wyobraźnia moja wobec tej jasnej, zjawiskowej postaci?. Czemuż głos ludzki wobec tej pieśni, co oto jak potok dźwiękiem zbrojny powietrzem płynąć poczyna?. Czarodziejska pieśń elfowa!
O lesie zaklęty, o nocy czarem duszna, upajaj mnie i urzekaj swym czarem!

Król elfów gra. –
Płynie pieśń elfowa, płynie jak westchnienia uśpionych na łąkach kwiatów, sypie się słowiczem łkaniem na rosę nocną, otwiera stulone kielichy leśnych dzwonków i napełnia je dźwiękiem swoim jak miodem…
Płynie pieśń elfowa, cicha zrazu i nieuchwytna, się nagle – grzmotem potężnych tonów wybucha… Słychać w niej wycie jesiennego wichru, jęk burzą walonych dębów, plusk deszczu siekącego powierzchnię stawu, krzyk ginących od pioruna orląt słychać w tej pieśni…
Cały las trzęsie się od niej. Ptactwo budzi się na gniazdach, na zawsze zaklęta, przez sen—

uśmiecha się królewna a dusza moja drży i omdle-
wa od ogromu bólu, który ją przenika...

Król elfów pieśnią swą głosi o białej pieśni-burzy
opiewa, do uszu zaklętą pieśń podnosi — i gra.
Płynie pieśń elfowa. Jak płatki róży sypią
się jej tony słodkie a mocne, miękkie a groźne
zarazem, sypią się w serce twoje, ty wonna, leśna
duszyczko aby ci je z piersi, tchnieniem jeszcze i
pustotą drżącej — zabrać na zawsze!
Płynie pieśń elfowa i mówi ci o tem czego nie
ma na ziemi ni w świecie, szepce o tem, czego
nigdy nie dosięgniesz w życiu w twojem marnem
konwaljowem życiu, czego z duszy swej wątłej nie
wydrzesz, o czem nigdy zapomnieć nie zdołasz —
a mówi tak cudnie!..

Leśne dzwonki chylą kielichy, też czaszy peł-
ne a z pieśni co zgasła w powietrzu. Dech
jakiejś tęsknoty ogromnej sionął po lesie...
Podnosisz oczy ku mnie, ty smutna już
odtąd i urzeczona i wiem już, że nigdy więcej
fantazja moja nie pójdzie tańcząc z tobą w
taką ciepłą, majową, księżycem wysrebrzoną noc!
Zasłuchasz się na śmierć w echu elfowej pieśni
i żyć niemi będziesz zadumana, nasłuchującem
tym jednem zaklęta i darmo świecić będzie sło-
ńce na pył złotych twoich skrzydeł, daremnie
siostry wołać cię będą do tańca!

Twoja dusza poszła już w przestwór bezbrzeżny, za tą pieśnią królewską i wszędzie jej odźwięk będzie w śpiewie ptaków leśnych, w chrzęście szumów rozdzwonionych nad topielą, w łopotach orlich piór, w grzmocie pioruna lecącego wśród turni — a co nie będzie jej echem, niczem będzie - dla ciebie....

O duszo skrzydlata! O pieśni elfowa!..

W Świętojańską noc

Dziś, dziś się dowiem...
W głuchą, czarną noc letnią powie mi las czy to prawda,
W głuchą zaczarowaną noc, kiedy z zapartym oddechem stoją drzewa,
W zaczarowaną krótką noc, przez którą niebo z pożogi słonecznej nie stygnie,
W jedyną noc kiedy echo śpi.
Oprócz mnie nie usłyszy nikt — nikt —
Pójdę,
Tędy idę...

Nie widzę nic ale ja wiem, że to tędy...

W chłodną czarną próżnię, wyciągam ręce przed siebie, ku tej nieznanej jeszcze prawdzie ja wyciągam, ku tej prawdzie, którą mam usłyszeć tej nocy i w sobie zamknąć na zawsze a której oprócz mnie, nie usłyszy nikt — nikt —

Cisza. Wszystko czeka na coś, wszystko słucha, nawet kwiaty nie pachną. — boję się oddychać:

Ciemno, ale ja wiem, że to tędy.
Znam przecie tę ścieżkę wąską wśród pól biegnącą i czuję rosę lecącą mi z kłosów na ręce.
— A teraz równina, otwarte pola i szeroki oddech przestrzeni.

Zboża zostały już po za mną.

Co to?!. Ktoś, gdzieś... Organy? Wyraźnie organy. Tak. Wiem już.

Raz, dawno — zapadł się kościół. To tu. —

Złota w głębi, pod ziemią...
Cicho, cicho, zejdę, — ale nie teraz, aż z lasu wrócę, aż się dowiem...

Zapadły kościół.

Różyce barwnych okien i promieni słońca prze-strzelony przez kolorowe szkło. Świece, drogocenne płachty, drżące kryształy pająków, srebrna lampa i czerwony lotus wiecznego płomienia w tej lampie...

— Ołtarz, przed którym dawano raz ślub.

Zapadło się wszystko. Zapadło się tak nagle, że promieni słonecznych nie zdążył zajść, tylko jest strzała złota złamana, zapadł się się razem i świeci tam gdzieś, w głębi. —

— Tędy łąką...

Drżą wrzosy gnące mi się pod stopą i woń lasu mnie ogarnia żywiczna.

Łuna spalonych przed wiekami ognisk kupal-nej nocy wisi na niebie i drży w piersi żar, przed wiekami pogasłych ogni...

Świąteczny zapach piołunu i ruty, kadzidłowy zapach dziewanny i mięty, dymna woń obrzędowych ziół dusi mnie za gardło...

Obłędna krótka noc,
Świętojańska noc,
Dziś, dziś...

Noc przepalona skrami pożóg płomiennych upojeń,

Noc, przepojona duszną wonią odwiecznych pło=
mieni, odwiecznych i wiecznotrwałych kołysań;
które się ostały w powietrzu, choć proch nie os=
tał się z tych, którzy dyszeli niemi — ongiś...
Noc, w którą na pleśni głazy uroczyska
schodzą się stare bogi i radzą,
Noc w którą wolno rzucać w przestrzeń czarną,
słowa pod trzy gorzkie i pod trzy palące,
Słowa szalone, które usta do uszu rzucą i
na przepaście lecą,
Słowa bolesne a słodkie pod ostatkami zapadłej
jesieni,
Słowa pełne zadławionych jęków, które tylko ta
noc czarna — rozumie.
Noc zatajona w sobie, niema, nadsłuchująca,
Obłędna, krótka noc
Dziś, dziś...

Dziś, w blaskach kupalnych ogni, wstać może
pieśń wielka, porwać się może od ziemi, nie=
zaczęta, nieskończona, niewyśpiewana — pieśń!.
Dziś ludzie z ust do ust, podają sobie sło=
wa jej nieśmiertelnej treści, słowa pieśni przed=
wiecznej, przez zawieruchę pożogi stuleci, z
wichrem szczerym konających godzin lecącej;
pieśni, co niezaczęta i nieskończona, gdzieś
w głębiach wszechświata o słońca nieznane
bije skrzydłami nieobjętej, bezbrzeżnej, tęsknoty...
O pieśni ogromna, niewyśpiewana pieśni...!

Patrzę w głąb lasu. Stoi niemy i martwy. Patrzę weń jak w czarną nawę zapadłego kościoła i chwyta mnie lęk...

Wejść — trzeba wejść...
A jeśli ten las będzie milczał, jeśli mi nie odpowie, jeśli zataji w sobie to, co wiedzieć pragnę?
A jeśli ten las będzie mówił, jeśli mi tę pieśń duchów ogromną objawi, jeśli mi jej dźwiękiem upiornym rozkołysze nadmiarną, jeśli mi oczy blaskiem jej treści porazi?!. Czy znajdę w sobie dość mocy — by słuchać?!

W dziwnym, niby z pod ziemi bijącym brzmieniu, smukłe pnie sosen stoją jeden przy drugim niby zwarte flety organu...

O nocy Świętojańska,
Obłędna, krótka nocy,
Mów, czy to prawda?!..

Dziś — dziś, powiedział mi las, że —
nieprawda...
W złudną, zaczarowaną noc, kiedy z zapartym oddechem stoją drzewa, przeleciała nade mną ta pieśń czarowna, jak stado ptaków ogromnych zaszumiała ~~[illegible]~~ mi nad głową, ptaków, z których każde skrzydło jest napięte i na wietrze grającą harfą...
Przeleciała nade mną ta pieśń, jak światło-

swobodne, jak światło niepodzielone, niezmięte, przebrzmiałe...

Ogromna, nieśmiertelna pieśń..!

W zaczarowaną drżącą noc, przez którą niebo
z pożogi słonecznej nie stygnie

W jedyną noc kiedy echo śpi,
Oprócz mnie nie słyszał nikt — nikt.! —

Wrócę,
Tedy Łęda...

Balada

Gorący — długi pocałunek kładę na twoich ustach!
Zbudź się królewno!..
Są one chłodne, te usta twoje jak ów głóg koralowy, jesienny i jak on purpurowe.
Rozchyl-że je uśmiechem!..
Co to?!.. Śpisz jeszcze?.. Czyż nie godzien jestem spłoszyć z ust twoich zaklęcia?—

Na gobelinach głębokiego krzesła jaśnieje twarz twoja biała, przędzą jasnych włosów oplątana, słodka, senna twarz zaczarowanej królewny...
Ocknij-że się...
Spałaś już przecie dość długo, tyle zim i wiosen a oto letnia teraz pora na świecie, zboże kwitnie, bławatów pełne i powoju.
Wstań-że, już czas!—
Wirydarz twój, wiesz, zielem ~~[illegible]~~ dzikich chwast zarosła, pająki na kołowrotku twoim przędą a świerszcz polny z wnętrza lutni się twojej odzywa...
Otwórz oczy, — niech mi zaświtną na białej twojej twarzy, bo kwiatom lnu podobne boć pewno niebieskie być muszą!
Śliczne są te długie twoje, ciemniste rzęsy, ale je podnieś nareszcie i popatrz na mnie,
senna królewno moja!

Posłuchać jeno zechciej a opowiem ci przez jakie ostępy przebojem tum szedłem do ciebie, ile rwących strumieni rzucało mi się pod stopy, ile borów czarnych zachodziło mi drogę, przez jakie turnie skaliste piąć mi się było potrzeba, ile zwierzów pokonać — zanim ów jaszczur złotołuski ogniem na mnie zionął u bramy!..

— Wyjrzyj jeno okienkiem a obaczysz go tam w dole, pod wieżą.. Na purpurowej pościeli krwi własnej w czerwcowem się tam słońcu rozciągnął — tyle, że ciepła już jego nie czuje!

Widzisz mój miecz zbroczony? — Ale ciebie to on, krwią jadu swojego opłynął!

Królewno senna, zaczarowana królewno!..

Więc nie zbudzisz się? Nie otworzysz oczu?..

Czyżby sny twoje piękniejsze być mogły od życia?—

Rozwieram okno na ścieżaj... o, jak skrzypią rdzą przeżarte zawiasy... Gdybyś jeno wyjrzała na świat, gdybyś raz rzuciła okiem na tę dalekość błękitną, na ten przestwór słoneczny... Ile tam miejsca na świecie! Hej!.. Czujesz zapach pola i macierzanki? Słyszysz jak gdzieś na łąkach dzwonięcą?..

Słyszysz! o, przecie, jasne zadrżały ci rzęsy i budzisz się, — o przecie!

Wielkie, ciemne, zaczarowane oczy patrzą na mnie w zdumieniu.

Z czcią należną królewnej zginam przed tobą kolano i czoło kornie, do stópek twoich dostojnych pochylam.

Jak dziecko małe i wylękłe patrzeć poczynasz na mnie, jak sarna schwytana a bezbronna.

— Już dzień — już dzień? — szepcą usta twoje do głosów jesiennych podobne w bezgranicznem, bezbrzeżnem zdumieniu.
— Zalim noc całą przespała?! — I ktoś ty jest rycerzu w komnacie mojej?.. Odpowiedz! Zali ty wieści przynosisz mi z pola? —

Z głębi miękkiego krzesła w którem się ów sen stuletni przychwycił, na poręczach jego wsparta, wychylasz się cała ku mnie jak ciekawy, rozkwitły nagle kwiat.

O kim wieści królewno?!
— Więc nie wiesz? Więc nie wiesz rycerzu?! —

Wiem jeno, żeś ty piękna jak lato, jak pieśń i żem ci serce moje u stóp położyć gotów...

A!? — ślubowałeś i mnie... A też! — Pamięć —? Pamięć tylko?! I czekasz przecie? Czekasz aż wojna minie.. Hej, ty nie wiesz, że się ta wojna skończyła dawno, przed wiekiem!

Czar padł na ciebie o wieczornym mroku ongiś — przed lat całym stuleciem a oto zbudzona teraz, mniemasz, że to było wczoraj....

Ach wiesz, że ten, którego czekałaś tak długo, śpi już sobie dawno, snem mocnym i złotym, gdzieś — w głębi połaci kurhanów, lub w chłodnej krypcie świątyni, śpi sobie twardo, z rękoma w krzyż na piersi złożonemi i nie przyjdzie, nie wróci już nigdy królewno!

— Jeśli ty prawdę mówisz szczerze? Ach bajka-li to, nie złuda? —
Jako się ta rzeka sina wstecz biegu nie wróci, taka prawda słów moich królewno!

— Krew jego, lodowatem księżycem miedzi połacią na pobojowisku dawnem zakrzepła, purpurowa, młodzieńcza krew, ojczyźnie na sławę przelana.
Ja wiem, że on zginąć musiał, inaczej byłby tu wichrem do twoich stóp przyleciał.
Wszędzie miłować cię musiał na umór!
Przeczysz?!..
O toć go nie czekaj! Ach czekaj już którego!
Rozejrzyj się lepiej do koła! Spojrz na krosna swoje. Cień haftu ostał się jeno na denku! I lutenki twojej struny porwane zwisły a świerszczyk polny w jej wnętrze się schronił milczący. Ujmij ją tylko do ręki a poniesie jako od gędźby weselnej odezwę.
Chcesz? — Oto jest! Ale pozwól mi

wpierw wiecej z niej pęty stuletnie opruszę, że z nim połcie się twoji jej dotkną. Strusiem piórem mego hełmu, cały złoty tuman, cały obłok pyłu wzniosłem przez okno na pola.. cały świat leci..! —

Spróbuj-że zagrać teraz a poznasz jako się twojej lutnie twoja tornowate ozwą dźwięków.

Wierzę ja, — ład..!

I miłosz oto zbutwiałe struny pod twemi palcami jęk wydały bezdźwięczne i martwe.
Przez noc jedną nie mogłyby przecie oniemieć!

Czy wierzysz już teraz?
Ale nie to! Zatoczyć każe świat nowe, zaledwie mojej zawołam i przykłów...

Co ci to? — Płaczesz?! — — —

~~[illegible]~~

Wielkie, ciemne, zadziwione oczy, patrzą na mnie z za łez, strachem rozszerzone i męką.

— Przecz-żeś mnie budził rycerzu, miast zabić?!
— Przecz-żeś mnie z martwych wołał miast pogrześć?.. Przecz-żeś się mi ulitował nadamną?! ———

Zaiste, pocoż je ciebie zbudziłem królewno?
Hej, senna, zaczarowana królewno..!

Morendo

W błękitne groty twojej duszy, jak łabędź dziś wpływam ginący, aby w niej pieśń moją ostatnią przedśmiertną pieśń moją wyśpiewać.

Do stóp twoich płynę oto aby umrzeć.

Do stóp twoich, na sinej fali nieukojonej niczem tęsknoty, pożegnać się z tobą na długo, z cudów i ludzi najbielszy!

Wszystkiem mi byłeś i niczem;

Słońcem mojem i nigdy niewypłakanym smutkiem mego życia,

Skrzydłami duszy mojej i beznadziejną otchłanią zwątpień,

Ukochaniem pod śmierć — jedynem!..

Przyjdź...

I wychodzisz mi naprzeciw z iskrami stalodty-łós nad głową, z bolesnym uśmiechem na ustach, z pękiem umarłych kwiatów w ręce, duch-sen, widmo, potokiem światła oblane...

I jest w twojej twarzy cała baśń tęczowa moich snów najcichszych.

I jest w twoich oczach cały złoty, niewyśniony sen mojego życia, cała legenda przeszłości mojej... Ave!

O duszo ty ludzka, ty jedna duszo, coś mi była i światem i młodością i umiłowaniem!..

Ty jedna duszo! Poza tobą niema już dla mnie widnokręgów. Przesłoniłeś mi wszystko wielkie

światłością swoją.

W błękitną głąb twojej duszy weszły onegdaj myśli moje, w blaskach jej modrych się ocknęły i w wielkie wonne kielichy pieśni się rozkwitły....

Zbudziły się w nich serce i dzwonić poczęły o liście, cicho zrazu i nieśmiało, potem głośniej i głośniej, aż wreszcie daleko, rozśpiewane echo pieśni w kielichach kwiatów zrodzonej, jakieś ostatni, na powietrzu zbłąkany kraj dźwięku, do stóp twoich przyleciał, o kamieni ostry u stóp się twoich rozprysnął i skonał... nad ziemią

Schyliła się wtedy (dziwożona siedząca przy tobie i szukać go w trawie poczęła...

Nie przeczuła, że było to daleko, mrące echo mojej pieśni, — nie zgadła!

Dziwożona o wielkich, ciemnych oczach,
Dziwożona o pięknej, złowrogiej twarzy,
Dziwożona, co ci duszę tę twoją słoneczną i błękitną, głębią oczu swoich urzekła — do czasu, co ci serce wyjęła z piersi i powiesiła je sobie u szyi, jak rzeczy blaskiem — klejnot...

O serce ty ludzkie, ty bezbronne serce!

W światłodrogę twojej duszy, myśl moja obrazy ta onegdaj po raz pierwszy zdumione blaskiem oczy aby żyć — a dziś oto wyśpiewało się już serce we mnie i do stóp twoich młodości twojej przywodzi — aby z marła.

Idą ze mną wspomnienia barwne, w niebieską głąb duszy twojej przychodzą, bo wszystkie odblaskiem twej postaci są jasne, bo wszystkie, twoją pięknością jedynie — są piękne!

Widzieć cię! Twarz twoją popatrzeć raz jeszcze, w migotaniu oczu gwiaździste się zapatrzeć, głos twój usłyszeć znowu, dobry, kochany twój głos, który przypomnieć usiłuję sobie — daremnie!

— I jesteś! — I pochyliłeś nademną jasną twoją, najmilszą twarz, mistyczną twarz mojego szczęścia — i jesteś piękny jak raj utracony, jak mir obiecany ziemi; jak śmierć wczesna, lekka — i nagła...

O śmierci od życia piękniejsza!

I otwiera się oto przedemną niby otchłań bladego szafiru, jak niebo jasna, jak źródło czysta bezdenna głębia niebieskiej twojej duszy...

I zdaje mi się, że to szczęście nadeszło ku mnie słodką swoją, jasną twarz i mówi: —

— Zapatrz mi się, bo gasnę...

I jesteś jak młodość, co mówi: —

— Przemijam...

I jesteś jak życie, co mówi:

— Przechodzę!..

I jest na twojej twarzy cała treść i tęsknota moich snów najcichszych...

O życie od śmierci smutniejsze!..

W ręce twoje, w twoje cudotwórcze, litościwe dłonie oddaję oto, Budda mego... W twoje białe, śnieżne ręce: —

Amforę tę szklanych barwnie,
Całe różańce niewypowiedzianych pacierzy
Wszystkie tęsknoty majowych nocy,
Wszystkie godziny jasności twoje złote
Słoneczne lata młodości mojej, — odeszłe
bez ciebie!..

I widzę cię, widzę cię teraz przed sobą, po latach, — znowu...
Widzę oczy twoje złotawe, migotliwe jak gwiazdy w mroźną, zimową noc i czuję znowu słodką pieszczotę twego wzroku...
I stoisz przede mną —
Iskrzący kwiat paproci,
Święty Graal mego serca,
Ognisty krzew nędzności mojej,
Obiecana ziemia mojej duszy...
Śmierci wczesna, lekka — i nagła! —

O Budda, coś mi rzucił w głąb łona olbrzymią nostalgię słońca, coś mi podarował bolesne, planetarne przestrzenie twórczej myśli, przyjdź ty mi teraz z pomocą!. Weźmij duszę moją i prowadź na te szlaki jasne, kędy gwaru ziemi ni ciżby, gdzie duchy wolne po szeleście skrzydlatych swoich myśli poruszają się jedynie
Stąd hasło brzmi: — Blask!

Gdzie odzew brzmi: — Dusz! —
Tam ty mnie prowadź!

Usty modlitwą tą spalonemi pożegnanie z dziś
rzucam przedśmiertne, niewysłuchalną tą prośbę
spalonemi usty, pożegnanie dziś ślę ci —
ostatnie!

Odkochałeś mnie nigdy, zapomnieć — nie potrafisz
jednak. Imię moje nic nie znaczyło w twem życiu
a przecie tego od siebie odegnać — nie zdołasz...
I święcić ono będzie póty tajemny, pod tą gwiazdą
sinosrebrną, nikłą a wierną, po niebie za twój=
życiem płynącą i przetrwam wszystko, co się z tobą tę=
dy, co mi ci pozostania, odczekam aż sam będziesz,
— wtedy przyjdę — i zostanę.
Przedtem jednak wiele jeszcze świateł popieleje,
wiele kwiatów zwiędnie i życie minąć musi: —
Dziś — umiera blado młodość moja i lata moje
kończą się wiosenne, którychś ostatnia, złota, krót=
ka godzina, do stóp twoich, w blasku twoich oczu
— umrzeć przyszła.
Dziś — żegnam w tobie młodość moją słoneczną
i pełną, jak w dojrzałe pole u twoich stóp zapadła
bezpowrotna, jak śmierć — i miłość jedyną,
młodą pieszczotę oczu twoich żegnam, twoich
smutnych, niezapomnianych oczu...
O duszo ty jasna, nieśmiertelna duszo!

Impromptu

Sypie się mrok, makowe ziarno sypie się zmierzchem na ziemię...
Sypie się ziarno z makówek a na rosę sny lecą,
— sny lecą...

Widzisz je?..
Jaskrawe, jak ból i rzeczywistość,
Złudne, jak rozpacz
I jak prawda odrutne...
Czarne, jak letni wieczór przed burzą,
Blade jak mgły nad moczarami wiszące,
I jak deszcz na górach posępne...
Te, które się kładą ciężkim smutkiem na piersi i trwają...
A potem te piękne i nietrwałe jak szrony na słońcu niknące te najpiękniejsze a niespodziewane, których życie nie spełnia — a których zapomnieć
— niemożna...
Te, z których bije zapach rajskiego ogrodu i łuna wiecznej światłości, w których jest spokój wieczysty i wszelkie ziemskie kochanie,
Te, które się opisać nie mogą...
Sypie się mrok, makowe ziarno sypie się zmierzchem na ziemię.
Sypie się ziarno z makówek a na rosę sny lecą,
— sny lecą...

Jakiś sad w przepychu kwiecia stojący, jasna zieleń majowych traw, żółte i białe motyle liściom zwiędniętych kwiatów podobne, perlące rosy na trawach i szafir nieba nad sadem. Wiosenny,

słoneczny sonet, — w powietrzu woni ..
Tak, tak, — teraz ty przyjdziesz, — ja wiem ....

Zbliżasz się ku mnie śnie mój; wołany tęsknotą bezmierną przed tysiącami tysięcy lat, z pomnych, wielkobujnych dżungli rajskiego ogrodu wyjęty!..
Zestrój się jeno w pieśń moją...
Wytęż serce i poznaj, że dla ciebie oto roztopionem złotem blasku, na powietrzu się rozlewa w przeczyste formy skrzepnąć...
Przejdziesz, przeminiesz jak cień, jeno słowo moje żywe — zostanie po tobie!
Z oddali, z przestworzy, pod śnieżną biel rozdzielił tego sadu, w smudze blasku idziesz ku mnie...
Czuję zapach fiołków i wiem, żeś już blisko!
O śnie, słoneczny śnie mego życia...

Przez mgłę łez patrzę na ciebie, na twarz twoją młodą i oddaną.
I za łez może wydaje mi się tak piękną jak zawsze,
I za łez może — wydaje mi się tak smutną — jak nigdy...
I nie mówię ci: „Odejdź", bo wiem, że za tobą — odeszłaby dusza moja.
I nie mówię ci: „Opuść mnie" bo wiem, że za cieniem twoim iść będę przez wieczność...
Ty nie wiesz, że łaski cień mogą przesłonić morze — słońce,
Wypełnić serce jak płyn wypełnia czarę,
Położyć się omgłą na wszystkie łęki życia
I wszystkie gwiazdy pogasić!..

Bo niewiesz, że taki cichy marny to wielka tęskno boża, wielka moc — i słodka,
O wiesz, że bez ciebie popiół-by jeno, pozostał we mnie i proch,
O wiesz, że bezemnie ciemnicem byś tylko pozostał marzeniem i snem!. —

I patrz oto na ten cichy twój, na trawach leżący przedemną, oczu — na twarz twoją pełną po raz który podnieść — nieśmiejąc...
— „Posłuchaj” mówisz nagle — „Posłuchaj” pasterza głos, którego dźwięk jak klejnot w ręce drżącym i do piersi garnę..
— „Przyłożę oto do ciebie, po szyję rosy twoich słów” — po pieśni twoich mamy niebieską, albowiem rozpalił się we mnie blask ducha — i wszystkie światła — pogasły....
— Dusza moja uniesienie swoje zniecała i jestem jak słońca pusta, w której jeno szum fal wielkich pozostał, co szemrze jeszcze: —

Thalatta — Thalatta!..

Dziś słów tych już pojąć — niezdolna...
A ty wiesz, że nie była z tych, co jak meteory gasną,
Wiesz, że w niej otchłań zadrżała i hufce skrzydlatych myśli się dożyły,
Że miała w sobie bliskość i głębi tatrzańskich stawów i wielką ciszę turni!..

Ty wiesz, że nie było błędnym ogniem na trzęsawiskach życia,
lecz wielką, smutną, przezroczną, polała się w mej — miłością! —
„Wróćżej duszę moją! Ty możesz — Ona twój głos powróci...."

Podnoszę wzrok, — pod przejrzystą bielą rozkwitłego sadu nie ma nikogo... Sen pierzchnął...
O śnie, słoneczny śnie mego życia! —

I poszła myśl i poszła tęsknota bezmierna, — przez rajskie sady snów, przez ciszę zenitu mórz, poszła duszy twojej szukać; po stepach i bezdrożach jej wołać.... W nawy mrocznych kościołów z szeptem litanii, z oparem kadzideł się wniosła — i leciał głos, szła myśl niestrudzona, muszle na dnie fal śpiące otwierać;
Do śpiewne piersi skrzypiec się tknąć;
Korony lotosów białych odmykać wstydliwie niem
I orłom patrzeć do gwiazd...
Daremnie.
Nie było duszy twojej pośród tęczowych pereł oceanu
Ani w piersiach skrzypcowych,
Ani w pucharach lotosowych kwiatów,
Ani w orlich gniazdach...
Zdało mi się to szukanie trudem daremnym już — i straszliwym...
Wtedy zaszła mi drogę Melancholia.

Na młodej jej twarzy leżał srebrny odblask miesięcz-
nej poświaty. Szła wolno, przez krajobraz szary, ska-
listy, głębokiemi cieniami kamiennych załomów
znaczony, z granatową przepaścią nieba nad głową,
w ciemnej swojej, długiej szacie z czarnemi mal-
wami na śnieżnobiałych włosach. Szła wysoka,
dostojna i jak każdy wielki smutek — piękna. —
Stanęła i patrząc mi w oczy długo, martwą
dźwię — „Kogo szukasz?” - zapytała nagle.
— Duszy ludzkiej, jednej duszy, którą niemiłosiernie
swoje rzuciwszy - odeszła... Wołam jej i szukam
- daremno... Żal mi jej, jako perły bezcennej,
rzuconej do morza z powrotem... Może wiesz gdzie
przebywa, jak jej wołać należy?.. Odpowiedz! —
Potrząsnęła srebrnemi strumieniami włosów
— „Nie szukaj..” odparła twardo. „Jeżeli dusz nie
woła się z powrotem, albowiem wrócić nie może-
my.” ——————

A wtedy zadzwonił we mnie pękniętym spiż zra-
nionego śmiertelnie serca i w jęk ogromny uderzył
w jakieś podzwonne nad pustyniami się niosące.
Podzwonne duszy twojej, - twojej słonecznej, mroź-
nej duszy,
Podzwonne wielkim, jak ptaki szerokoskrzydłe
lotnym porywom twoich myśli!...
Podzwonne pragnieniom twoim, jak sosnowe,
wysokopienne lasy szumiącym mi ongiś nad
głową. Podzwonne, podzwonne, podzwonne!..

A niewiasta o młodej twarzy i białośnieżnych włosach obejrzała się raz jeszcze, poważna, milcząca, w ciemną swoją szatę spowita i poszła dalej, szklistą, miesięcznym światłem oblaną drogą. Wysoka, dostojna i jak każdy wielki smutek – piękna.

Sypią się ziarno z modówek, a na rosę smug lecą
— smug lecą...
Zdrowe jak ból i rzeczywistość,
Słuszne jak rozpęd
I jak prawda – odwieczne...

Suite

Zostań! Zostań...

Patrz, przecie wiosna wstaje i lodem zaszłe, oczy jezior przeciera, na słońce je obraca — i wstaje!..

Przecie dziś, jutro — zakwitną śnieżyce, jaskółki wrócą i trwożnym swym świegotem pytać mnie będą o ciebie!

I cóż ja powiem tym żałobnym, wracającym ptakom?

Nie, — nie — ty nie odejdziesz beze mnie!

To tak, jakby się człowiek cienia swego wyrzekał i mówił mu: — „Ty w swoją, ja w moją drogę pójdę, żegnaj — i zapomnij o mnie!" —

Jakże to?! — Widzisz, to już tak niedługo...

Przyjdą ranki słoneczne, wyiskrzone rosami, przesiąkłe wonią fiołków i traw, śniegiem kwiatu okryje się tarnina — a wreszcie — sady zakwitną...

Sady zakwitną! Słyszysz? —

Przyjdą wieczory, duszne zapachem czeremszyn, w mrokach liliowych tonące, przyjdą sny, siądą koło nas na kwiatkami tkanej murawie i śniegiem liści — osypią nas wiśnie i grusze kwitnące...

Odchodzisz?.. Odchodzisz jednak?!..

Idę więc z tobą razem...

Nie będę czekać aż mi się liść świeży rozwinie, nie popatrzę w złote oczy jaskrów, wonią bzów nie odetchnę więcej, ani czeremszyn cierpkim, krzepiącym zapachem... Idziemy razem!

Zimno jeszcze i martwota na świecie.
Chwila najsmutniejsza i najcięższa przyszła...—
Odchodzę z Duchem twoim nie żegnając się z nikim...
Wszystko w ciężkim śnie złożone leży u moich stóp. Jakże mam się z kim żegnać. Wiem zresztą, że nie wrócę, — lepiej więc odejść cicho, bez szelestu rozpostartych skrzydeł.
Ziemia zbudzona nie pozna nawet, że jej ubyło jednej człowieczej duszy, że ktoś z ludzi minął — i odszedł... Lecimy! —

Ach wołasz mnie za sobą i nie wiesz, że w kirach mroźnej, bezgwiezdnej nocy dążę twym śladem, że cienie rąk moich dotykają twej szaty, że nie jesteś przecie samotnym, zgubionym w przestrzeni; że razem lecimy na obłoku, obcy sobie, zawsze dalecy a jednak, — tak bliscy.!

Co tu kwiatów po drodze!.. Białe, przezroczyste, jak diamenty i jak one lśniącemi łzy się mieniące. Co to za kwiaty? Chcę ich nałamać i zabrać z sobą, ale pod mojem dotknięciem wnet się srebrne rozprysły.. Dziwne kwiaty... A jednak zimne, jak z lodu... Szkoda, że z nich wieńca uwić nie można. Byłby piękny, jak żaden z nich — na ziemi!..

Zimno i ciemno. Poznaję cię tylko po kwiatowej jakiejś woni, co płynie za tobą. Ująć ci rękę nie śmiem, nie mam prawa — Duchu.! —

Wicher gwałtownem tchnieniem przeleciał w przestr ~~ni~~ przestrzeni i nagle szmat granatowego nieba odarł się z za chmur. Przy blasku kilku świecących ~~na~~ niem gwiazd, widzę jak zwijam rozpostarte skrzydła i padam w zmęczeniu na pierś leżącej chmury.

Lido, jak nietoperz ustaje w locie i chyli się również na ów obłok płynący... Patrzymy na siebie w milczeniu.

— Kto ty jesteś? zdają się mnie pytać twoje oczy, złotawe, przejrzyste, zdziwione. Ale ja milczę pod chłodnem wejrzeniem źrenic twego ducha i czuję wreszcie, jakby owe mroźne, lodowe, widziane przed chwilą kwiaty dotknęły nagle mego serca.

— „Kto ty jesteś?" Pyta wreszcie głos twój, zmieniony, smutny, w którym drga zmęczenie.

Jestem cieniem twoim, co idzie za tobą....

Jak dziwnie brzmią głosy nasze w tej przestrzeni bezbrzeżnej! Wydają się szeptem słabym i niewyraźnym a jednak poznaję twój głos, znajomy głos, za którym pójdę wszędzie, choćby najwyżej!..

Gwiazdy świecą duże, biało-srebrne, jakby tuż nad nami zapalone i w blasku tym śnieży się przedziwną twarz twoja, twarz tylko przejrzystsza od żyjącej-ongiś, bezkrwi tylko zmarzona i smutna... Czemu?.. Wszakże ten los nasz to swoboda, to wyzwolenie!.. Kształt ziemski umarł a dusze lecą oto na wyraj bezpowrotny, jak ptaki wolne,

Ku słońcu — ku Prawdzie!..
Więc na co ty czekasz, biały, zmęczony bracie? Czemu odrzyłeś twoje jak śnieg białe lotne na prądzie płynącej chmury? Lecimy! — Oto cień twój rzuca się do lotu a ty — czekasz?! —
I podnoszą się ku mnie ręce złotawe, przy-jaźnie, oczy twoje podnoszą się ku mnie a głos ów znajomy i twoje usta mówią z wysiłkiem: —
— „Mocy mi brak, aby w górę lecieć — a w dół z powrotem niezdolny!..”
I kładzie twój pęd śnieżną twarz na obłok płynący i trwa tak w ciszy omdlewającej — od płaczu.

I nagle, pierwszy raz stamtąd przedemną wzeszło jasno i polecę.... Możeś ty jednak nie z tych — co dzisiejszych, skoro w połowie drogi zwiędły ci skrzydła i padasz? — Możeś ty jednym z tych kwiatów lodowych, co blaski ściały widome, choć świetne i pod dotknięciem w łzy się srebrne rozprysły?..
Zostań więc! —
Oddalam się od drogi twojej aby samotnym cieniem dążyć stąd ku głębiom niebieskich sklepień.
Może kiedyś, — dolecę tam gdzie tobie nie było danem a wtedy rzucę ci jedną gwiazdę na znak, że jestem u celu, niech ci spadnie na załamane w niemocy dłonie, jak płomienny, gorący kwiat — i wskrzesi ci duszę i ludzkim, znajomym głosem, którego nie poznasz, — powie ci —:

— Wstań!

Requiem aeternam...

Nie idź za mną! – Tu bodaj, na tym progu opuść mnie!..

Nad wrzosem wyścielaną polaną, w las żywicą wonny, w szare godziny letnich zmierzchów, przychodzić możesz wspomnieniem. Tu jednak duszę moją opuść, – niech idzie sama, niech się oderwie od ciebie, niech zapomni!.. Nie idź za mną...

W złotawych kolorach tęcz lecących przez gotyckie okna stoję – i słucham ciszy.

Pył minionych wieków sypie się na mnie ze sklepień i cisza, wielka kościelna cisza ogarnia mi duszę. Na sarkofagach śpią twardo, w zbroje zakuci kamienni męże. Pokój im wieczny! –

Pokój wieczny... Jakież to mocne słowa! Ile w nich nieskończoności – i ciszy...

Pokój wieczny... Te słowa zamiast modlitwy powracają mimowoli na moje usta i są mi pacierzem.

Daj Panie pokój wieczny tym wysiłkom moim, co jak ptaki chore na wyraj polecieć nie mogą – a w górę się rwą, do gwiazd.

Pokój wieczny sercu memu i duszy mojej, wieczny pokój – i cisza!

Jakże tu pięknie i dobrze! Nie wiem, czy mi to piękno właśnie nie koi duszy samo i wyglądanie. Ale nie. Tum Koloński jest poematem linii – a jednak o ile tu lepiej, – inaczej...

Tu jest jakaś wielkość, którą czuję, wielkość wiary w rzeczy czekane a słoneczne, – wiary, która z dymem kadzideł leci pod strop gwiaździsty,

wisząca i strzępy starych sztandarów, a pajęczyna kamiennego stropu się wiesza — a przytem, tu jest Przeszłość — i Smutek...

Cisza. — Słychać tylko lekki trzepot płomienia w zawieszonej przed ołtarzem lampce i zapach jakiś dziwny wilgotnym chłodem wieje przez kościół. — Zapach przywiędłych kwiatów, spalonego przed ołtarzem bursztynu — i ten [illegible] [illegible]...

Drżący płatek tęczy jak liść rajskiego kwiatu pada mi przed stopy. Szkoda, że pierzchnąć musi! Jutro o tej porze padnie tu znowu, na te same arabeski mozaikowych kobierców, — jutro i codzień. Żal mi go jak niektórych godzin mego życia, co blaskiem nagłym padały mi w duszę, aby rozjaśnić jak tęcza — zgasnąć — i nie wrócić więcej!

O tęcze moje, o godziny jasne!..

Ze złoconego tła obrazu, purpurową łuną wiecznej lampy oblana, patrzy na mnie ciemna, w srebrne blachy zamknięta twarz.

Łzy koralowe i złote serca wiszą na blasze a czerwone światło lampy płoni wota i schnące bukiety nieśmiertelników niby krwią świeżą, niezastygłą jeszcze...

A gdyby tak i mnie, także serce złote powiesić na srebrne obrazu, także zakrwawione blaskiem serce złożyć między te, wiszące już?!

Czyżby istotnie odkupić można życie, także — złotem?..

Niewiadomo przeszłych...

[illegible]

Módl się za nami!

Wniebowzięcia dostąpił...

Przez budziki nieśmiertelników przesuwa się obraz cudowny, ciemna twarz patrzy wprost ku mnie a zielone, ciemne oczy patrzą wyraźnie: —

Co tobie?!

Królowo Aniołów —

Módl się za nami!

Kościół zastygł i drzemie w mroku.

Tęcze oderwały się od ziemi i gasną. Tylko odwa boczne świecą, jak na niebie wzeszły, w kamieniu oprawny heft.

Coraz to mroczniej...

Podnoszę oczy wyżej też zachodzące i zza ter widzę ciemne postaci, ręce wiotkie na bzdury rzucone, anielskie widma w złotych chwiejnych świecące i jedno z tych widm o bladym, znajomym uśmiechu pochyla się nagle ku mnie i słowy jedwabnie szeleścić poczyna...

A! — tu bodaj nie mogę mi ciszy! — Tu bodaj nie przyjdzie, gdzie o pokój wieczny dla serca mego proszę, gdzie z piersi smutkiem wezbranej na głos pomocy wołam...

Królowo Aniołów —

Módl się za nami!

Finale

Więc — jeszcze nie koniec, — nie koniec ?!
Blade mary kładzione na sen do sarkofagów wstają i długim korowodem ciągną się przedemną —
Znowu!

Tyle razy, w męce i bólu, prosił cię mój duch o pokój, jasna, przemożna mara a oto znowu zachodzisz mi drogę... Postać twoja, zamierzchła mi już przed oczyma jak tuman mglisty, na oczy mi łąk, o mroku się kładący, który ciemności nocy dłonie powoli...

Pocóż się wracasz ?!
Teraz, kiedy w moc sercem rosnę, ku innym się światom zwracam i dążę; —
Teraz, kiedy ramiona moje wielkim, wiecznym miłościom się rozwarły i dech niezdobywalności twarz moją owiewać poczyna; kiedy duch mój na życie nowe się zbroi, na pełne, ogromne, skrzydlate życie ?!

Po za mną w kurhanach polnych, zostały krewnice sine, w których serce smutki swe młode, niby miód mocny sycito, upojne miody krótkich, złotych lat życia...
Zostały po za mną w popielnicach, prochy ofiar przed ołtarzem dziecinnych wierzeń spalone, zostały żałośni pomyśli na uroczyskach rozstajów leżących drzemiące...

Sen wam, sen wam, — sen!

Cichy był wasz pogrzeb, bez rannego słońca i płomiennych sztandarów ognia, nocą, na wichrze się trzęsących, bez obrzędowych pieśni i płaczu...
Orzeł życia [illegible] i pod nim zieloną się zapadł — i to czekanie rzeczy wielkich i boleśnie pięknych, które jest skrzydłami młodych lat i złotą zorzą

w ciemnościach zapaloną przed nocami — odeszło.

I dźwigają się we mnie moce nowe, zatajone dawniej, cały jakiś huf rycerzy w piersi mojej śpiących, dźwięcznie zbrojami podzwania i budząc się o tarcze spiżowe uderzać...
Ach światło! Ach walki przedświtne! Ach bój!
O tryjumfie promienny, o mój śpiący rycerzu...

Czy wiesz ty z kim idziesz się zmagać — maja-ku?!—
Zmitomy, błędy, równym oparem wspomnień dawnych, znów nad sercem mojem ciężą posępne...
Idzie od ciebie czar nieprzeparty ongiś, czar pustynnej Fata Morgany, co zielenią palm świeżych, na widnych piaskach ciemni zadrżała... Czar sennego majaku z baśni, do którego obłąkane wspili moje szły wpław, przez szydzie morze opalowych wzdłuż, przez gorącą falę życia...
Bije od ciebie woń śmiertelnych zapomnień, woń cudowna białych, tonących kwiatów, w której serce me zaprószało ongiś, jak lampa w ~~[illegible]~~ bursztynnych kadzideł dzwonu...
Idziesz ku mnie i czarem, popatrzeć mi na mnie z twoich oczu, najpiękniejszy sen mojej nocy.—
Ale lękam się jednak. Pokonam twój czar, przemogę wzrok.—
Jak głęboka, cicha toń wody, pod niebem letniej nocy leżąca, tak dusza moja, firmamentem gwiazd bożych w głębi swej odbitych — migoce...
Ale tobie, światła te wiecznie przesłaniać!

Nigdy już, próżna, przemożna maro, nigdy już nie pójdę za tobą!

Nigdy! Spójrz w przepaść tego słowa i w przepaści jego się pogrąż!

Nie padnę już nigdy w prochu u twoich stóp i już mi słońca sobą — nie zaćmisz!

Idź — i otwórz kurhany szpone po błędnych drogach, którymi twój cień mnie wodził, i w snów mgławice spowijał!

Spójrz w sine trawnice i zmiętą popielników a odejdziesz w pokoju ujrzawszy, jako drogi twojego hazardu życie moje ci mościło!..

Koniec — już koniec!

Po raz ostatni mówię ci — Odejdź! —

Po raz ostatni powiadam ci — Opuść mnie! —

Maro okrutna! — Nienasycona maro!
